Dodatek do „Miesięcznika“ Nr. 11. i 12. z r. 1901.

DLA MŁODSZYCH.

Pies-kolejarzem.

Na angielskiej stacyi Brighton ustawiony jest na postumencie, pod kloszem szklanym, wypchany pies rasy szkockiej Pomnik to wdzięczności ludzkiej dla zwierzęcia pełnego zasług! Obok postumentu umieszczona jest puszka na składki, z napisem: „urodzony w 1878 r. w Szkocyi, zginął w 1891 r. w Sussex“. Zebrane fundusze z puszki idą dla sierót kolejarzy, którzy padli ofiarą skrzydlatego koła.

Pies ten nazywał się Help (pomoc) i był jednym z najpożyteczniejszych rówieśników w fachu „psów kolejowych“. Angielskie koleje tresują bowiem psy do służby miłosierdzia publicznego, nie człowiek żebrze, lecz pies mający zawieszoną na szyi puszkę.

Zbliżają się one na stacyach lub w podróży do jadących, stają na tylne łapki i składając prosząco łapki przednie, patrzą takim błagalnym i pokornym wzrokiem, że po prostu i najtwardsze „psie serce“ wzruszyć mogą.

Pies taki żebrzący, należy do najpiękniejszych, najbardziej utalentowanych swojej rasy, w przeciwieństwie do człowieka-żebraka.

Fundusze, tak zbierane, idą na domy sierót, na zakłady ubogich w przeważnej liczbie jednak na sieroty, „po zabitych w służbie kolejarzych“.

Kolej South-Western zatrudnia cztery dogi, które w ostatnich dwu latach zebrały razem do 110 funtów szterlingów (2700 koron). Jeden z nich znany Lindon-Jack padł niedawno ofiarą na polu swej pracy, przejechał go na śmierć nadjeżdżający pociąg.

Wyżej wspomniany Help pełnił służbę od r. 1882—1891 i podróżował żebrząc, przez całą Anglię, Szkocyę i Irlandyę, przejechał nawet kanał La Manche i witany był we Francyi z entuzyazmem.

Na szyi jego zawieszoną była srebrna obrączka z wielkim srebrnym medaljonem. Na medaljonie czytano: „Jestem Help z Anglii, pies kolejowy, podróżujący agent dla sierót kolejarzy poległych w służbie“.

Podróżując zebrał Help 1004 funtów szterlingów (25000 k.) i okazał się rzeczywistym dobroczyńcą biednych dzieci, a teraz po pracowitym żywocie wspomaga zakład dobroczynny, gdyż do puszki przy postumencie obficie napływają datki.

Służył więc ludzkości lepiej, niż niezliczona liczba ludzi.

Sekretarz instytutu sierót fotografował go, a widoki z Helpem miały szalone powodzenie, kupowano je chętniej aniżeli wizerunki pięknych dam lub książąt, okazał się znaczny dochód i tak nieżyjący pies wspomógł bardziej biedne sieroty niż niejeden żyjący książę...

Obecnie słynie ośmioletni *foxterrieur* Jim, kolei Mersey, dalej Tim ze stacyi Paddington. Tim zebrał dotychczas zwyż 480 funtów szterl. (12000 koron), puszkę jego zaszczyciły hojne datki królowej Wiktoryi w maju 1899 i marcu 1900 r., oraz obecnego króla Edwarda VII. Miliarder Astor zaszczycił go również swą przyjaźnią. Mimo takich dostojnych znajomości, których zazdrości mu niejeden dyrektor kolei, mimo królewskiej protekcyi, Tim nie pyszni się wcale, pozostał nadal skromnym psem kolejowym — wszystko, co zbiera, oddaje biednym sierotom — między ludźmi bywa to nieraz różnie...

W biografii wybitnych zwierząt słyną gęsie kapitolińskie, słynie wilczyca Romulusa i Remusa, sowy ateńskie, bucefał Aleksandra Wielkiego, w czasach rewolucyi pies Medor nieodstępny towarzysz generała Lafayette a obok tych reprezentantów sławy zwierzęcej, poczesne miejsce znajdą psy w służbie kolei, w służbie publicznego miłosierdzia.

Czyby i na kontynencie nie pomyślano o pomocy psa na tem polu?

Żebraniny, listy proszące, odezwy, tak często nie osiągają skutecznego rezultatu, daremny nieraz trud tych apelów do kieszeni bliźniego, a taki poczciwy pies, wierny towarzysz człowieka — kto wie, czy nie poruszyłby łacniej, obojętne na niedolę zatwardziałe serca ludzkie, gdyby błagalne jego spojrzenie uderzyło wzrok pana ziemi. (*Słowo Polskie*).

Szczęśliwe zwierzęta.

W zwierzyńcu w Nowym Jorku jest wspaniały słoń nazwiskiem Big Tom, którego także przezwano ludożercą, bo ma nadzwyczajny apetyt.

W roku zeszłym Big Tom zwykle łagodnego charakteru zaczął się bardzo niepokoić, tupał nogami, nieustannie kręcił się lub chodził jakby nie mógł ustać na jednem miejscu, uderzając trąbą o barjery i wydając często tak przeraźliwy ryk, że małpy, znajdujące się w jego sąsiedztwie, drżały z przerażenia.

Długo zastanawiano się nad przyczyną jego zachowywania się niekiedy nawet gwałtownego i szukano napróżno sposobów uspokojenia, Tymczasem przyszła szczęśliwa myśl dozorcy zwierzyńca, czy to rozdraźnienie nie pochodzi z bólu zębów.

Jakoż wezwany dentysta ordynujący w zwierzyńcu, po zbadaniu szczęk i zębów słonia skonstatował, że przypuszczenie dozorcy istotnie było uzasadnione, bo słoniowi próchniał ząb trzonowy, od czego nawet napuchły mu dziąsła, a że próchnienie dostało się do nerwu, musiało zatem wywołać dotkliwe cierpienia. Lecz co teraz było począć, czy leczyć ząb, czy go wyrwać? Wprawdzie wyrwanie zęba usunęłoby natychmiast ból, ale taka operacya u słonia, połączona z trudnościami nie do pokonania, okazała się prawie niemożliwą. Ostatecznie zdecydowano chory ząb zaplombować — ale czem, czy złotem, czy ołowiem. Złota plomba ma niezaprzeczoną wyższość nad inną, lecz jest znacznie kosztowniejszą. Z uwagi więc na oszczędność jak również i na obecną wojnę w Transwalu, użyto ołowiu.

Kilku ludzi związawszy słoniowi nogi, przewróciło go na ziemię i przymocowawszy linami, otworzyli mu paszczę, w której rzeczywiście ukazał się ząb trzonowy prawie niebieski z tak głęboką dziurą, że zmieściłaby się w nią mała pomarańcza.

Po oczyszczeniu zęba i wymyciu dziury gąbką, dentysta wbił młotkiem w otwór spróchniały około siedmiu funtów masy ołowianej i na tem operacyę zakończono.

Lecz nie tyle była ciekawą operacya, ile zachowanie się słonia, gdyż spodziewano się wielkich przeszkód, a stało się wprost przeciwnie, bo Big Tom zniósł ją bardzo cierpliwie, z zupełnym spokojem i zaledwie kilka razy żałośnie zajęczał. Widać było, że dobrze rozumiał, iż co mu robiono w zębie,

chociaż temu towarzyszyły cierpienia — to robiono dla jego dobra, dla usunięcia dokuczającego mu bólu.

I istotnie, po skończeniu plombowania, powstawszy z ziemi, spojrzał na dentystę wzrokiem pełnym wdzięczności, jakby chciał mu podziękować za wyświadczone dobrodziejstwo, które mu nie tylko przyniosło ulgę w przeżuwaniu pokarmów, ale uratowało wdzięk w uśmiechu.

Obecni nie mogli wyjść z podziwu, ażeby słoń był tak dalece inteligentnem zwierzęciem.

— W Londynie ptaki są uprzywilejowanemi istotami. Skoro zachorują, mogą być pielęgnowane przez najpierwszych lekarzy w szpitalu, który jest dla nich utworzony. Szpital ten, ufundowany przez dr. Walla, bardzo znanego w Anglii lekarza — składa się z kilku wspaniałych budynków. W pierwszym z nich są sale konsultacyjne, apteka, laboratoryum, w którem jeden z najpierwszych lekarzy zajmuje się preparowaniem lekarstw. Obok — jest sala, gdzie dr. Wall przeprowadza operacye — składa złamane łapki, skrzydła i to za pomocą przyrządów, które unieruchomiają zupełnie chore zwierzę. Inna budowla zawiera pomieszczenie dla chorych pacyentów. Sa tam papugi, gołębie, kolibry. Co rano klatki są czyszczone i dezynfekcyowane Osobny oddział przeznaczony jest dla chorób zaraźliwych. Szpital jest zawsze przepełniony. Codziennie właściciele otrzymują biuletyny zawiądamiające ich o stanie zdrowia ich ptaków.

Nigdzie na świecie bogaci ludzie nie wpadają w tak dziwaczne pomysły trwonienia pieniędzy, jak właśnie w Ameryce. Syn zmarłego niedawno miliardera Hunta stawia obecnie przepyszny pałac dla swych... psów. Będzie on zbudowany z kamienia i żelaza. Każdy pies będzie miał własny pokój; nad drzwiami będzie umieszczony srebrny nagłówek, a na nim wyryta nazwa, jak się pies wabi. Pokoje będą ogrzewane parą. Po dwa psy będą miały na usługi wygalowanego lokaja, oraz uzdolnionego „metra", który psy odpowiednio do ich zdolności będzie wyuczał. Osobną salę przeznaczono na lecznicę dla chorych psów. Będzie je pielęgnował sprowadzony z Europy weterynarz. (*Przyj. zw.*).

Śniadanie mewy.

Niejednokrotnie przekonano się, że ptaki łatwo się oswajają, gdy im żywność podawać.

Na wybrzeżu północnym Kornwalii zaszedł następujący wypadek. Z okna domu, stojącego na brzegu, rzucono przypadkowo kawałek chleba, który przelatująca mewa pochwyciła, Nazajutrz o tej samej godzinie znów była przy oknie mewa i znów dostała śniadanie. Od tego czasu regularnie się pojawiała codziennie przez lat 18 i tak długo latała koło okna, dopóki nie podano jej jedzenia, które później składało się z miski mleka z chlebem. Tylko kilka tygodni w roku była nieobecną, ale właśnie wtedy przypadł czas pojawiania się gromad pilchardów, zwykłego pożywienia mew. *L.*

Rozwaga wróbla.

Na jednem podwórzu wiedeńskiem zbierał wróbel materyał do budowy gniazdka. Krawczyni, która to przez okno widziała, chciała przyjść mu z pomocą. Rzuciła mu więc kawałek płócienka. W tej chwili zoczył ten dobry kawałek na gniazdko i porwał go w swój dzióbek i chciał ulecić. Jednak bujające w powietrzu płócienko przeszkadzało lotowi tak, że zaraz upadł na ziemię. Może z 12 razy próbował to samo z takim samym rezultatem. Nareszcie upuścił płócienko i skakał koło niego tu i tam, jak gdyby się namyśliwał, co począć wypada. I rzeczywiście wpadł na dobrą myśl, oto zaczął kawałek zwijać, złapał go w dzióbek tak, że żaden koniuszek nie wystawał i tak z węzełkiem poleciał na swoje gniazdko. *L.*

Tygrys i lustro,

Tygrys należy do tych drapieżców, którzy często między sobą walczą. Ta okoliczność i lustro uratowało raz życie misyonarzowi w Indyach. Misyonarz wyszedł z pokoju i gdy po krótkim czasie wrócił, zobaczył otworzywszy drzwi tygrysa, który pewnie przez otwarte okno wskoczył do środka. Przerażony, stracił przytomność i nie mógł uciekać, gdyby go był tygrys zoczył, byłby niechybnie zginął. Ale właśnie zobaczył on w lu-

strze swegó sobowtóra, który do niego się zbliżał, im bliżej szedł do lustra. Nagle tygrys skoczył na swego mniemanego przeciwnika — lustro prysło w tysiączne kawałki, a tygrys przestraszony z pokaleczonemi łapami przeskoczył przez okno i uciekł. Tak misyonarz ocalał. *L.*

Wspomnienie.

Karawan o jednym koniu przywiózł jakiegoś nędzarza na cmentarz Powązkowski *). Cały orszak pogrzebowy składał kaleka bez nogi, a za nim pies, z dużych kundli. Wniesiono trumnę i pochowano w wspólnym dole ubogich. Pies zawył kilka razy przeraźliwie, a inwalid otarł łzy na siwy wąs spadające i smutnie spuściwszy głowę, szedł drogą do furty.

— Daruj mi mój przyjacielu — rzekłem — że się zapytam, kogożeś to pochował?

— At! swego przyjaciela, panie; ale był to człek więcej niż przyjaciel, bo jak brat i ojciec dla mnie. Służyliśmy razem we wojsku, panie, ale on wyszedł cały i zdrów, a ja, jak pan widzisz, bez nogi... i ran kilka dolega.

I otarł znowu łzy rękawem od zniszczonej już kurtki.

— Mój bracie, słusznie go płaczesz, kiedy to był taki przyjaciel jak mówisz.

— Cóż ja teraz bez Piotra zrobię? — mówił jakby do siebie — kto mnie pożywi, okryje i pocieszy na świecie?

A łzy starcowi stłumiły mowę.

Wyszliśmy na drogę ku miastu: noc była pogodna, księżyc w pełni zajaśniał, głos tylko puchacza z cienia cmentarnego przyerywał spokojną ciszę. Inwalid szedł zwolna i łkał ciągle, wołał i poświstywał.

— Na Azor! tu! Do nogi Azor!

Gdy się psisko ociągało i nie chciało iść za nim, rzekł:

— To widzi pan, pies nie mój, tylko Piotra; ledwiem go wyprowadził z cmentarza. Dwie teraz zostały sieroty i ja umrę i psisko zdechnie z głodu, bo nie masz naszego Piotra.

Rozrzewnienie starca było bolesnem.

---

*) Tak się nazywa cmentarz w Warszawie.

— Nie rozpaczaj mój bracie — przemówiłem — Bóg dobry i litościwy czuwa nad każdym, to i wami opiekować się będzie.

— To prawda, panie, ale niedarmo mówić: „Boga wzywaj, a ręki przykładaj“, jak mi ręki do roboty przykładać, kiedy pokryta ranami na polach Raszyna.

I wskazał ręką w stronę zacmentarną

W tej chwili na obliczu kaleki widziałem jak go to wspomnienie orzeźwiło, zdawało się, że o swej boleści zapomniał. Ale krótko to trwało: znowu opuścił głowę na piersi, świsnął na Azora i znowu szliśmy dalej.

— Bo to widzi pan — mówił westchnąwszy — Piotr miał żonę i troje dzieci. O! święta to była niewiasta! Pracowali oboje, Piotr chodził z piłą i siekierą na zarobek; jak most zerwało, to miał łódź swoją i przewoził, bo i w święto na Saską Kępę państwa woził, a Piotrowa prała, szyła bieliznę, bo to dworka była. Ja wtedy im pomagałem jak mogłem: nosiłem wodę dla Piotrowej, rąbałem drwa, niańczyłem dzieci, robiłem więcierze na ryby, to naprawiałem łódź i jak płynęliśmy, byłem przy rudlu. Mieszkaliśmy na Powiślu. Ale przyszła zaraźliwa choroba, umarło troje dziatek, we dwa dni po nich poszła matka. Zostaliśmy we dwóch z Azorem — a lubił to psisko, bo dzieci się jego z nim bawiły. Piotrowa lubiła, bo to stróż dobry, a dzieciaki nieraz konno na nim jeździły, a on lizał im ręce i nogi. Niedługo potem mnie się rany w ręku otworzyły, nic dźwignąć nie mogłem, a Piotr wzdychał i przyciskał mnie do piersi, a pracował jak mógł. Ja patrzałem jak niknął: chodziłem do Trynitarzy, modliłem się a on legł na tapczanie i z niego już nie powstał. Pilnowałem go szczerze, może mi pan wierzyć, ale cóż! bieda, bieda, a w końcu nędza. Sprzedałem okrycie, co było w chałupie, aby miał ciepłą strawę i lekarstwo i doktora. Raz siedziałem przy kominie, gotowałem mu rosół z kury: wie pan, ja dla Piotra tę kurę ukradłem!... Bóg widzi, nie miałem jej za co kupić, a doktór kazał rosół z kury zgotować. Piotr się obudził i zobaczył mnie.

— Co tam robisz Janek?

— Rosół z kury dla ciebie.

— A zkądeś to wziął? — znowu mówi do mnie — to droga potrawa.

Jam się odwrócił, bom się wstydził zajrzeć mu w oczy i odrzekłem z cicha:

— Kupiłem....

— Oto mi z ciebie wielki pan! Nieprawda, tyś ukradł tę kurę! I zaczął płakać, tak rzewnie jak dziecko. Były to panie pierwsze łzy jego od śmierci żony i dzieci. Płacz, płacz, myślę sobie, może przyjdziesz do zdrowia. Ale gdzie tam, z temi łzami wypłakał i duszę! Nazajutrz o północy obudził się, kazał zapalić gromnicę i powiedział do mnie:

— Janie módl się, ja idę do mojej Marysi i dziatek: widziałem wszystkich we śnie. Chodź tu, uściskaj mnie. A nie daj mu z głodu zdechnąć.

I położył rękę na łbie Azora, co stał przy łożu i lizał mu ją wychudłą i żółtą. Ja się zacząłem modlić, on mi oddał gromnicę, westchnął i skonał. Azor to pierwszy przeczuł, bo zawył, panie tak strasznie, że ja krzyknąłem: — Piotrze! mój kochany Piotrze! Ale on już słowa więcej nie przemówił.

Głos inwalida przy tych słowach zadrżał: stanął, iść dalej nie mógł. Odpocząwszy chwilę mówił spokojniej:

— Sprzedałem co zostało na pogrzeb, i ot wracam do pustej izby, gdziem tyle lat szczęśliwie przeżył, w pustki, gdzie bywało tyle uciech i tyle serc poczciwych.

— Podaj mi rękę na pożegnanie, mój bracie — i wsunąłem mu kilka złotych.

Starzec zmarszczył czoło i z boleścią zawołał:

— Jałmużna!

— Nie! nie, mój przyjacielu, oddasz mi to później, — odrzekłem zmięszany; wiem gdzie mieszkasz.

— Chyba, że tak: bo widzi pan, ja ukradłem kurę, ale to było dla chorego Piotra, ale jeszcze nie żebrałem. Tymczasem dziękuję panu! Azor tu, dalej do domu!

I zniknął na zakręcie ulicy. Bóg go nie opuścił! Bez nogi żył jeszcze lat kilka, znalazł przytułek u poczciwego szewca ze Starego-Miasta, wraz z nieodstępnym Azorem, rany mu się zagoiły i pomagał pracą swemu dobroczyńcy.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pl, Bernardyński l. 7.